



# POKÓJ, KTÓREGO NIKT NIE CHCIAŁ

• Biały Dom, 13 września 1993 r., podpisanie porozumienia pokojowego przez premiera Izraela Icchaka Rabina i przywódcę Organizacji Wyzwolenia Palestyny Jasira Arafata. Rabin zapłacił za nie śmiercią – dwa lata później zastrzelili go religijny radykał. Arafat potępieniem przez palestyńskich islamistów FOT. CYNTHIA JOHNSON/LIAISON / GETTYIMAGES

## Michnik: Nie skreślajmy Rosji

Istnieje ścisły związek między przeszłością a tym, co Władimir Putin robi dziś w Ukrainie

2

## Spacer labiryntem pamięci

„Dzienniki” Stanisława Ossowskiego pomagają zrozumieć jego czasy, ale też nas samych

6

## Zapomniany władca Północy

Eryk Pomorski, jeden z największych władców XV-wiecznej Europy, pochodził z Darłowa

8

Istnieje związek między przeszłością a tym, co Putin robi w Ukrainie

# ROSJANIE MUSI BYĆ ZNIEWOLOONA

W Polsce syndrom antyrosyjski był zawsze silny – to było skrzyżowanie pogardy, poczucia wyższości i strachu. Ale Rosji nie można zredukować do Stalina i Putina.

ROZMOWA Z  
**ADAMEM MICHNIKIEM**

**IRENA GRUDZIŃSKA: Niedawno rządzący uchwalili ustawę „lex Tusk”, w nowym prawie chodzi o tropienie „wpływu rosyjskich”, czy jest to tylko przykrywka?**

**ADAM MICHNIK:** Ugrupowanie Kaczyńskiego chce zainstalować w polskim systemie politycznym instytucję wzorowaną na komisji McCarthy'ego, tylko jeszcze bardziej prymitywną i barbarzyńską, przypominającą metody faszystowskie czy bolszewickie z lat 30. ub. wieku. Bo gdy Stalin ogłaszał wojnę z międzynarodowym trockizmem, trockista mógł być każdy, to nie wymagało dowodów czy postępowania sądowego. Ta sama zasada jest w założeniu tej komisji: nie jest sprecyzowane, na podstawie jakiego typu dowodów arbitralnie wybranych dziewięć osób ma ogłosić, że ktoś był agentem wpływów Rosji putinowskiej. To jest stalinowski absurd i chodzi o sterroryzowanie opinii publicznej i unicestwienie opozycji politycznej. Znamy to z putinowskiej Rosji, gdzie Aleksiej Nawalny nie mógł kandydować na prezydenta Federacji Rosyjskiej, dlatego że został tego prawa arbitralnie pozbawiony. Czy choćby z Turcji, gdzie decyzją Erdogana w ostatnich wyborach nie mógł kandydować na prezydenta burmistrz Konstancyjnopola. Albo z Białorusi, gdzie kandydaci na prezydenta przeciw Łukaszenko wylądowali w więzieniu. Pod pretekstem wojny z putinowską Rosją próbuje się zainstalować putinowskie mechanizmy w Polsce. Chodzi o unicestwienie wszystkich tych w opozycji demokratycznej, którzy występują przeciwko PiS.

**Czyli ciebie też można by oskarżyć o to, że jesteś „agentem wpływów rosyjskich”. Często ostrzegasz przed rusofobią. Gdy 14 marca Rosja zorganizowała spotkanie ONZ-owskiej Rady Bezpieczeństwa dotyczące „rusofobii”, Timothy Snyder powiedział, że Rosja używa tego terminu jako jednego ze sposobów atakowania Ukrainy i przedstawiania siebie nie jako najeźdźcę, ale ofiarę.**

– Zgadzałem się z tym, co powiedział Snyder, myślę podobnie. Ale chciałbym zauważyć, że choć obyczajem sowieckiego komunizmu było oskarżanie o faszizm każdego, kto się z nim nie zgadzał, nie wynika z tego, że faszystów nie było. Byli. To samo z rusofobią,

szczególnie w moim kraju. Jest przekonanie, że każdy Rosjanin, ponieważ jest Rosjaninem, jest przynajmniej podejrzewany o to, że jest bandytą, tchórzem, złodziejem, lajdakiem czy innym łobuzem. To uważam za niebezpieczne. O ile łatwo jest zrozumieć takie emocje u Ukraińców, którzy są codziennie mordowani, to w Polsce i krajach naszego regionu wydaje mi się to niemądre. Potrafię zrozumieć, że Ukraińcy niszczą pomnik Antoniego Czechowa czy Michaiła Bulhakowa, tak samo jak rozumiem emocje Ilii Erenburga, który w 1943 r. napisał w „Izwestiach”, że trzeba zabijać każdego Niemca. Przypomnę słowa Stalina, który mówił z cynizmem, ale i pewną przenikliwością, że Hitlerzy przychodzą i odchodzą, ale naród niemiecki pozostanie. Myślenie, które skazuje na potępienie każdego Rosjanina, jest zabójcze. I temu się przeciwstawiłem i przeciwstawiam. Snyder prawdziwie opisuje putinowską propagandę i z tym się zgadzam. Ale przecież są tacy ludzie jak Nawalny, Kara-Murza, Sacharow czy Chodorkowski, który spędził w więzieniu wiele lat.

**Wracasz do tego tematu często i z naciskiem, uważasz go za bardzo ważny.**

– To jest ważne, bo polska rusofobia ożyła i pozwala odwoływać się do wszystkich tradycyjnych resentymentów. Przypominamy sobie zabory, represje po powstaniach, Katyń, to, co pisali Joseph Conrad czy Jan Kucharzewski. W to wszystko wpisywana jest katastrofa lotnicza, w której zginął prezydent Kaczyński. Miało to być preludem do agresji Rosji na Ukrainę, co jest absurdem. Ale jak ludzie patrzą na straszne barbarzyństwo wojsk rosyjskich w Ukrainie, trudno się uchronić od emocji.

W Polsce syndrom antyrosyjski był zawsze silny. To było skrzyżowanie pogardy, poczucia wyższości i strachu. Inny był stosunek do Ukrainy, bo jej ludzie się nie bali – tu była wyższościowość bez strachu. W stosunku do Rosji była pełna pogarda dla kultury rosyjskiej, połączona ze zrozumieniem, że ta potęga może nas zdeptać. Łatwo wzbudzić takie emocje. W stosunku do Niemiec, z którymi mamy od wielu lat spokój, też takie emocje występują. Żydów w Polsce nie ma, a sam widziałem w 2017 r. wielką manifestację w Warszawie przeciwko uchwale Kongresu Stanów Zjednoczonych o zwracaniu mienia żydowskiego. Zawsze uważałem ten typ nacjonalizmu za truciznę, coś bardzo niebezpiecznego.

**Uważasz, że nie ma ciągłości między działaniami rosyjskimi z przeszłości a tym, co Rosja dziś robi?**

– Jakaś ciągłość istnieje. Bliskie jest mi to, co piszą rosyjscy koledzy, którzy szukają źródeł zwycięstwa Putina nad siłami demokracji w całej historii Rosji. To jest słuszne.

**Ale „koledzy”, o których mówisz, ta Rosja, którą ty wspominasz z sentymentem, ci Rosjanie – to mniejszość.**

– W świecie dyktatury siły, które pragną wolności, są zawsze mniejszościowe. Niemiecka demokracja po Hitlerze była jeszcze mniejsza. O Rosji się mówi, że jej specyfika jest spowodowana jarzmem tatarskim. Tymczasem Mongolia jest dziś demokratycznym państwem. Czyli bycie pod Tatarami nie skazuje na niewolnicze myślenie. Oczywiście ta Rosja jest dzisiaj mniejszościowa, ale jest bardzo istotna.

**Czy ona nie była zawsze mniejszościowa?**

– Powiedziałbym inaczej. Do Polski wolność przyszła z Rosji, z pierestrojki. Gdyby nie było tej Rosji z pierestrojki, nie wydarzyłby się Okrągły Stół, rok '89, nie byłoby transformacji ustrojowej. Siły wolnościowe zwykle będą w konflikcie z siłami autorytarnymi, ponieważ wolnościowcy mają skrupuły, a tamci nie. Ale czy z tego można wyciągnąć wniosek, że tak już musi być? Jeśli cofnąć się do rewolucji francuskiej, to przecież był to kraj terroru feudalnego. Ale gdy tylko ten terror się zmniejszył, przyszli jakobini i dopiero pokazali, jak terrorizować Francję. Państwo Napoleona był załóżkiem państwa pretotalitarnego. Cały XIX w. to niekończące się represje, buntury etc. Nawet dziś widzimy rekonstrukcje myślenia totalitarnego w tym, co reprezentują Marine Le Pen i Jean-Luc Mélenchon. Nie skazywałbym więc raz na zawsze Rosji na to, że musi być krajem zniewolonym. Wielki poeta rosyjski Lermontow napisał: „Żegnaj mi, Rosjo nieumyta, ojczyzno rabów, kraju panów”. To pokazuje potencjał wolnościowy w Rosji, gdy potrafiemy nazywać to, co się dzieje, prawdziwymi słowami. Tak było u Aleksandra Hercena, Aleksandra Puszkina, Lwa Tołstoja. Ja bym tej Rosji nie przekreślał, tak jak nie da się Niemiec zredukować do Hitlera czy Italii do Mussoliniego. Nie można zredukować Rosji do Stalina i Putina. Zawsze byli Murawjowowie, którzy wieszali, i Murawjowowie, których wieszano. Władimir Kara-Murza niedawno został skazany na 25 lat więzie-



• **Mały chłopiec przejeżdża na hulajnodze obok ścian Pokryta jest ona portretami ukraińskich żołnierzy po**

FOT. FRANK GUNN/THE CANADIAN PRESS / AP

nia – to wielki człowiek, obrońca wolności, tatarskiego pochodzenia. Nie wolno przyjmować tezy, że jakaś wspólnota skazana jest na niewolnictwo. Bo to jest rasizm.

**Jak oceniasz stosunek Watykanu do wojny w Ukrainie?**

– Bardzo mi się on nie podoba. Franciszek jest z Ameryki Łacińskiej i w jego DNA wpisany jest antyamerykanizm. Gdy mówi o „szkających kundelkach NATO-owskich”, powtarza antyamerykańskie klisze. Ale widzę w jego zachowaniu pewien sens – jeśli chcesz być budowniczym mostów, nie możesz się identyfikować z jedną ze stron. Taka była logika Piusa XII wobec Hitlera i byli tacy, którzy tego bronili. Ale dzisiaj już już nie bronili. Bo „niech wasza mowa będzie: Tak, tak; nie, nie. A co nadto jest, od Złego pochodzi” (to z Ewangelii św. Mateusza). Bo nawet jeśli się mówi „miłujcie nieprzyjaciół wasze”, to trzeba tych nieprzyjaciół nazwać.

**Stosunek polskiego Kościoła jest inny?**

– Polski Kościół zajął stanowisko jednoznacznie proukraińskie i to mu biorę za plus. Ale łatwo jest być proukraińskim, gdy taki jest cały rząd. W sprawie uchodźców na granicy polsko-białoruskiej stanowisko Kościoła było już inne, choć muszę powiedzieć, że nie takie samo jak rządu. Kościół chciał korytarzy humanitarnych, Kaczyński powiedział, że mowy nie ma. Kościół próbował być chrześcijański, ale nie było jednoznacznego stanowiska, nie było potępienia tego gadania, że uchodźcy przynoszą pasożyty. Kościół nigdy nie potępił mowy nienawiści wobec LGBT.

**Wręcz przeciwnie...**

– Ale nie było szczujni.

**Mobilizacja Kościoła przeciwko pojęciu „gender” to rodzaj szczucia.**

– To kwestia wrażliwości. Oczywiście wiele moich koleżanek i kolegów czy ludzi ze środowiska LGBT odbiera to jako szczucie, dla mnie to jeszcze było w ramach pewnego dyskursu, można było dyskutować, spierać się. Ale Kościół w Polsce i nie tylko w Polsce znalazł się w najgłębszym kryzysie od czasu reformacji, nawet oświecenie nie było takim kryzysem.

**Ale przecież Kościół jest u władzy. Zyskał wielkie bogactwo, ma kontrolę nad szkolnictwem. Dziś uczy się religii w każdej szkole...**

– Chce mieć władzę, ale jej nie ma. Religia nie jest przymusowa, znam szkoły, w których na religię chodzi 10-20 proc. uczniów. Miodowy czas Kościoła już minął, znalazł się on w defensywie. Jest przy władzy w tym sensie, że trzyma z władzą. Jeśli były jakieś nadzieje Kościoła na wpływ na władzę, to się skończyły w 2007 r., gdy władza świecka wymusiła



Wy pamięci przy katedrze św. Michała w Kijowie. Oległych w wyniku rosyjskiej agresji

odwołanie nominowanego arcybiskupa Warszawy Stanisława Wielgusa. Wymusiła! Kościół będzie dalej słabł i to widzą jego najbardziej bystrzy członkowie.

#### Czy dlatego, że opuszczają go wierni?

– Tak, i to jest spadek dramatyczny. Zamykają się seminaria, nie ma już masowych powołań, a momentem zwrotnym są dwie rzeczy. O ile lustracja antybezpieczniacka nie poszła daleko, bo nikt w tym nie miał interesu, to już przekręty finansowe, pazerność – tego było zbyt wiele. A druga sprawa to skandale obyczajowe, zwłaszcza pedofilia. To jest horror. I to wybuchło w Stanach Zjednoczonych, w Niemczech, Austrii, Irlandii, Chile i w Polsce.

#### Ale intensywnie bronisz Jana Pawła II.

– Jan Paweł II to nie Kościół, to są dwie różne rzeczy. Nie wiem, jak to dokładnie było, ale redukcja go do tego, że miał mieć mało stanowczą reakcję na skandale obyczajowe, redukcja do tego jego pontyfikatu jest absurdem. To był człowiek bardzo wybitny i jak każdy z nas miał momenty lepsze i gorsze. Wiem, ile mu zawdzięczam, ile mu zawdzięcza Polska, ile świat mu zawdzięcza. Tu go bronię z całym przekonaniem, ale arcybiskupa Jędraszewskiego czy dyrektora Rydzka już bym nie bronił.

#### Karola Wojtyłę jako biskupa Krakowa krytykuje się za przesuwanie do innych parafii księży, których oskarżano o pedofilię.

– Niewiele wiem na ten temat i to, co pokazano, nie jest bardzo przekonujące. Dwa głosy dziwnych ludzi. Ty widzisz przesuwanie księży, a ja widzę to, że Wojtyła otworzył Kościół dla opozycji. Nie można tego porównać do tego, co się działo w Warszawie. I trzymał parasol ochronny nad „Tygodnikiem Powszechnym”. Jego rola była kolosalna. Choć nie wszystko mi się podobało, na przykład jego koncentracja na seksie, ale nie jestem katolikiem. Patrzę na to, co było dla mnie najważniejsze – on był po stronie wolności i odwagi.

#### Przewidujesz wielki kryzys Kościoła.

– On już jest i będzie się pogłębiał. Bo nie widzę wśród biskupów dostatecznej autorefleksji, pomysłu, jak z tego wybrnąć. Widzę zapadanie się w bezsilność intelektualną, a ostatnie decyzje, które kneblują usta niezależnie myślącym kapłanom, są przerażające. Muszą uzgadniać swoje stanowisko z przełożonymi, nie wolno im wypowiadać się publicznie, jak w przypadku Adama Bonieckiego czy Wojciecha Lemańskiego. To jest skandaliczne i wynika z historii. Polski Kościół w okresie międzywojennym był endecki, podczas okupacji był bardzo patriotyczny, chociaż biskup kielecki Czesław Kaczmarek mówił, że trzeba władzy słuchać

i zgłaszać się na roboty do Niemiec. Różnie było. Ale do wiadomości społecznej przebiły się ofiary, na przykład Maksymilian Kolbe, nie jako wydawca „Małego Dziennika”, ale jako ktoś, kto oddał życie za innego. Ten gest pozostanie na zawsze w etosie polskim. Po wojnie aż do 1956 r. Kościół był jedynym miejscem, którego w pełni nie zdominowali komuniści. Z wszystkimi kompromisami. To w kościołach uczono Ewangelii, a nie pism Stalina czy Bieruta. Po 1989 r. Kościół nie znalazł odpowiedzi na to, jak egzystować w świecie wolnego rynku idei.

#### Zrozumiał kapitalizm, uwłaszczył się.

– Nie rozumiał, to jest kapitalizm feudalny. Najważniejsze jest, czy Kościół znajdzie język i sposób, jak odpowiedzieć na nowe wyzwania rzeczywistości. Biskupi są w moim wieku, zbliżają się do osiemdziesiątki; gdy człowiek już jest rzadko zdolny do całkowitego przeorania swoich poglądów, chyba że ma do czynienia z jakąś wielką katastrofą, jak wojna czy pandemia. Widzę z ich strony trzymanie się PiS-u, bo to są pieniądze. Zapłacą straszną cenę za to, że wsparli ustawę antyaborcyjną jeszcze bardziej restrykcyjną niż ta poprzednia. Taka sztywność doktrynalna się nie utrzyma, to poszło za daleko.

#### Przeczytałam niedawno sprawozdanie ze spotkania Viktora Orbána z jego ludźmi odpowiedzialnymi za gospodarkę. Orbán rozważał perspektywę nadchodzącej dekady, możliwość przegranej Rosji w wojnie z Ukrainą i zmiany na mapie Europy – możliwe przesunięcie się centrum, za poparciem USA, na Polskę sojuszniczą z Ukrainą. Co myślisz o tak daleko idących wizjach zmian na mapie Europy?

– Nie ma podstaw, żeby wyciągać tak daleko idące wnioski. Nie wiem, jak by miało wyglądać przegranie wojny przez Rosję. Defilada ukraińska na placu Czerwonym w Moskwie? Wołodimir Zełenski na trybunie honorowej, gdzie kiedyś stał Stalin? Orbán jest ofiarą mitu, chęci odbudowania tego, co Węgry straciły w Trianon. I zaczyna od Užhorodu [niegdyś stolica należącej do Królestwa Węgier Rusi Zakarpackiej, dziś w granicach Ukrainy]. Stąd na samym początku tej wojny zażądał autonomii dla Węgrów, to było obrzydliwe. Nie rozumiem go. Przy swojej megalomanii może doprowadzić Węgry do katastrofy, chociaż ma poparcie, bo to jest naród traumatyzowany przez Trianon. Bałem się, że w Polsce w pewnej konstelacji politycznej to samo może być z Wilnem, Lwowem i Grodnem. Na razie tego nie ma. Może dlatego, że wtedy od razu stała sprawa Szczecina, Opola i Wrocławia. To były wcześniej niemieckie miasta.

#### Na mnie te słowa Orbána zrobiły wrażenie, bo zobaczyłam, że granice Europy stały się ruchome.

– To tylko Węgry. Może Serbia, Kosowo. Trochę Hiszpania, Katalonia.

#### Spytam na koniec, jak mogłoby wyglądać zwycięstwo nad Rosją.

– Wyparcie Rosji z Donbasu, obalenie Putina i poważne rozmowy na temat Krymu. Rozróżniałbym tu Krym i Donbas. Oczywiście zajęcie Krymu było złamaniem prawa międzynarodowego, ale gdyby Putin nie napadł rok temu na Ukrainę, to świat zapewne pogodziłby się z Krymem, dlatego że na Krymie nie było żadnych silnych tendencji antyrosyjskich, a nawet wprost przeciwnie. Natomiast w tej chwili to jest możliwe, ale musi zostać obalony Putin, bo jest jak Hitler w bunkrze, może wszystko zrobić.

#### Jak sobie wyobrażasz to „wszystko”?

– Nie wiem, ale jedno wiem – nie można mu ulegać. Bo wtedy będzie appeasement, taka sama logika jak z Hitlerem. Atakując Ukrainę, przekroczył wszystkie czerwone linie. Nie ma miejsca, żeby poważnie się z nim umawiać. Na cokolwiek. ●

#### Rozmawiała Irena Grudzińska

Copyright: Project Syndicate, 2022; project-syndicate.org

Dawno nie dawno

## Kijem i gazrurką

Premier Morawiecki czerpie garściami ze spuścizny komunistycznych władców Polski.

Machcewicz



#### „Jak byłem tu poprzednio w lutym, to mi robotnicy powiedzieli, że jakby tu przyjechał ci z Platformy Obywatelskiej,

to żeby im powiedział, żeby ubrali takie bardzo grube waciaki, bo ich kijami obijają. To ja mówię właśnie do tych naszych przeciwników politycznych: może się tu pojawicie, w Hucie Stalowa Wola, którą wyprzedawaliście kawalek po kawalku? Może się pojawicie i spojrzycie prosto w oczy robotnikom? Wątpię. Ale jak się pojawicie, to przywieźcie te waciaki, żebyście nie zostali za bardzo dotkliwie pobici. Bo my jesteśmy miłośnikami i chcemy was oszczędzić” – tak 7 czerwca mówił Mateusz Morawiecki na spotkaniu z pracownikami huty w Stalowej Woli. Premier, z wykształcenia historyk, chwilę wcześniej miał jeszcze dłuższy wywód na temat rządów komunistów. Powinien zatem pamiętać, że wezwanie „aktywu robotniczego” do obijania kijem przeciwników politycznych, choć stanowi nową jakość w życiu politycznym III RP, oryginalne przecież nie jest. Wezwania do bicia kijem, pałką lub gazrurką oraz szczucie robotników przeciwko inteligencji były metodą walki z opozycją przez sprawujących władzę we wspomnianych przez premiera czasach PRL, szczególnie kiedy przeciwnicy rządzących dawali wyraz swoim opiniom w prasie czy na ulicach.

**Metodę gazrurki spopularyzował w 1956 r. gen. Kazimierz Witaszewski**, szef Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego i członek KC PZPR. Wiosną 1956 r. zbliżał się w Polsce kres stalinizmu, żądano nie tylko amnestii dla więźniów politycznych, ale i pociągnięcia do odpowiedzialności karnej i politycznej winnych represji, zagwarantowania niezawisłości sędziowskiej, wolności słowa. W prasie coraz śmielej pojawiały się artykuły wyrażające takie poglądy i aspiracje. W takiej atmosferze Witaszewski na zebraniu z pracownikami w jed-

nej z fabryk w Łodzi zaatakował literatów krytykujących władzę na łamach prasy, a szczególnie Antoniego Słonimskiego, i zasugerował, że robotnicy wezmą sprawę w swoje ręce. „Gdyby taki Słonimski przyjechał do Scheiblera, toby musiał włożyć helm strażacki, żeby mu głowa nie spuchła” – powiedział. Zapowiedział też, że PZPR będzie się bronić przed antypartyjnymi elementami, „jeśli w dziedzinie potrzeba, to i gazrurką”. W tamtym czasie stał się symbolem konserwatywnego, siłowego skrzydła PZPR, gotowego bronić status quo.

**Bicie pałkami przez „aktyw robotniczy” było metodą zwalczania opozycji wśród studentów na Uniwersytecie Warszawskim w 1968 r.** Ósmego marca po odczytaniu rezolucji w sprawie relegowanych studentów Henryka Szlajfera i Adama Michnika zebrani na dziedzińcu uczelni studenci zamierzali się rozejść, jednak drogę zagroził im szpaler ubranych po cywilnemu mężczyzn, którzy wysypali się z autobusów z napisem: „Wycieczka”. Z rękawów wyciągnęli pałki i przystąpili do rozpędzania studenckiej manifestacji.

**Władysław Gomułka w przemówieniu wygłoszonym 19 marca nazwał protestujących „mętami” i „wichrzycielami”, a pobicie opozycyjnie nastawionych studentów formą przekonywania.** Jednak sam przyznał, że „aktywowi robotniczemu nie udało się przekonać studentów”. W kolejnych dniach na warszawskich, wrocławskich i gdańskich uczelniach trwały wiece i manifestacje, brutalnie atakowane przez oddziały milicji. W fabrykach władze zwoływały wiece, na których robotnicy popierali w rezolucjach rządzącą partię i wznosili hasła antyinteligencje (i „antyżydowskie”, czyli antyżydowskie), zgodnie z receptą podziału na zdrowy naród i złe, bo opozycyjne, elity.

**Ten krótki kurs obijania przeciwników politycznych może otrzeźwi czyjeś rozpalone umysły.** W obijaniu kijem specjalizują się autokraci, względnie populisci wszelkiej maści. Dobrze byłoby wbić sobie tę prawdę – oczywiście nie kijem – do głowy. ●

**Anna Machcewicz** – historyczka dziejów najnowszych, pracuje w Instytucie Studiów Politycznych PAN

ROZMOWA Z

**KONSTANTYM GEBERTEM**

Pod koniec maja ukazała się książka Konstantego Geberta „Pokój z widokiem na wojnę. Historia Izraela” (Agora). Autor jest jednym z najwybitniejszych polskich dziennikarzy. Publikuje w „Gazecie Wyborczej” i „Kulturze Liberalnej”, był twórcą i pierwszym naczelnym żydowskiego miesięcznika „Midrasz”. Prowadzi podcast o Izraelu „Ziemia zbyt obiecana”. Jego poprzednia książka „Ostateczne rozwiązania. Ludobójcy i ich dzieło” została w tym roku nominowana do Nagrody „Nike”.

**IGOR RAKOWSKI-KŁOS:** Pana książka dotyczy głównie wojen, ale wołałbym porozmawiać o pokoju. Dokładnie 30 lat temu w Oslo trwały tajne rozmowy, które kilka miesięcy później doprowadziły do pierwszego porozumienia pokojowego Izraela z Palestyńczykami. Wojska izraelskie miały opuścić Gazę i Jerycho, przekazując uprawnienia władzom Autonomii Palestyńskiej.

**KONSTANTY GEBERT:** Izrael i Organizacja Wyzwolenia Palestyny uznały się wówczas wzajemnie, a w ciągu pięciu lat po podpisaniu, zgodnie z zasadą „ziemia za pokój”, Izrael miał się wycofać z tych terytoriów, na których miało powstać państwo palestyńskie.

**Przed Białym Domem Icchak Rabin i Jasir Arafat wymienili historyczny uścisk dłoni. Pamięta pan swoją reakcję?**

– Akurat byłem na Czerskiej, w redakcji „Wyborczej”. Gapiłem się w telewizor. Poryczałem się.

**Pewnie nie pan jeden.**

– Nie jestem szczególnie emocjonalnym człowiekiem, ale to było takie poczucie, jak to się mówi po żydowsku, der meszija is werkimn.

**To znaczy?**

– Meszjasz przybył. Wkrótce potem byłem w Izraelu. Zobaczyłem radość, którą pamiętałem z 1989 r. z Polski. Wszystko wydawało się możliwe. Euforia. Dopóki autobusy nie zaczęły wylatywać w powietrze.

**Euforia po stronie Izraelczyków czy Palestyńczyków?**

– Po obu stronach. Czulem to niemal fizycznie. Jakby ludzie, którzy dźwigali ogromne ciężary, nagle je zrzucili i zobaczyli, że mogą biegać.

**Rozmowy w Oslo toczyły się w tajemnicy. Początkowo Izrael reprezentowali nawet nie urzędnicy czy politycy, lecz politolodzy Yair Hirschfeld i Ron Pundak. Dopiero później przyleciał potajemnie Uri Sawir, dyrektor generalny ministerstwa spraw zagranicznych. Dlaczego rozmowy pokojowe były aż tak tajne?**

– Rząd izraelski nie mógł rozmawiać z ludźmi, których programem było zniszczenie narodu żydowskiego w Palestynie. Karta Narodowa OWP jednoznacznie to stanowiła, więc o czym tu rozmawiać? Oprócz tego obowiązywała ustawa, która zakazywała kontaktów z OWP.

**Jak wyglądała sytuacja po stronie palestyńskiej?**

– Niemal tak samo. Jakikolwiek rozmowy musiałyby oznaczać, że przyjmuje się możliwość istnienia jakiegoś Izraela.

**A to była zdrada.**

– Zdrada to mało. Palestyńska polityczna samoświadomość zbiorowa oparta była na założeniu, że Izraela nie ma i być nie może. Zdradę można popełnić, gdy się z czegoś zrezygnuje.

**A tu oznaczało to zgodę na samobójstwo.**

– Na zbiorowe samobójstwo oraz samobójstwo dosłowne, bo za takie rzeczy się zabijało. Mój przyjaciel Sari Nusseibeh, który potem został rektorem świętego palestyńskiego uniwersytetu Al-Kuds w Jerozolimie wschodniej, opublikował artykuł, w którym przedstawił radykalną propozycję. To było jeszcze w latach 70., gdy izraelski projekt kolonizacyjny był w powijakach. Proponował, by Pale-

• **Laureaci Pokojowej Nagrody Nobla za rok 1994, od lewej: palestyński przywódca Jasir Arafat, minister spraw zagranicznych Izraela Szymon Peres i premier Icchak Rabin**

FOT. GOVERNMENT PRESS OFFICE / GETTY IMAGES



**Polecamy książkę**

# MESJASZ PRZYBYŁ NA CHWILĘ

**Miała być ziemia za pokój, a jedni nie mają pokoju, a drudzy nie mają ziemi**

styńczycy wyrzekli się walki o niepodległość i terroryzmu, a zamiast tego ustawiali się w karnych kolejkach do izraelskich urzędów, żądając obywatelstwa. Zrealizowanie tego było nie tylko politycznie, ale i psychologicznie niemożliwe. Ale pozostaje faktem, że gdyby Palestyńczycy posłuchali się wtedy Sariego, to Izrael musiałby się wynosić z terytoriów okupowanych, bo takich kolejek nie można rozpędzić czołgami. A przyznanie wszystkim Palestyńczykom obywatelstwa oznaczałoby zgodę na to, że będziemy mniejszością w kraju arabskim. Plan Sariego zmuszał Izraelczyków, by potraktowali Palestyńczyków poważnie. Jeśli nie chcemy rozpędzać kolejek siłą i nie chcemy być mniejszością we własnym kraju, to jedynym scenariuszem jest wycofanie się z terytoriów palestyńskich.

**Co na to OWP?**

– Wysłała list pułapkę, który wybuchł mu w rękach. No i Sari przestał się wypowiadać publicznie, skupił na pracy naukowej.

**A jednak Jasir Arafat wysłał do Oslo negocjatora Abu Alaę. Dlaczego?**

– Wtedy OWP znalazła się w całkowitej zapaści. Upadł Związek Radziecki, skąd płynęły pieniądze, a wspieranie Saddama Husajna, który napadł na Kuwejt, kosztowało ich poparcie nie tylko Amerykanów, ale również Arabów.

**Świetny moment, by czekać, aż OWP utonie. Negocjacje były rzuceniem Arafatowi koła ratunkowego. Ktoś chciał z nim rozmawiać, więc coś jednak znaczył.**

– Tak może sądził premier Icchak Rabin, ale minister spraw zagranicznych Szymon Peres uważał dokładnie odwrotnie. Skoro przeciwnik jest słaby, to jest najlepszy moment, by coś

od niego uzyskać, bo bez tego sam nie przetrwa. Przekonał w końcu Rabina, i chwala im obu, że umieli to zauważyć.

**Rabin i Peres reprezentowali rządzącą partię Awoda. Arafat był liderem Fatahu. Gospodarzami negocjacji była norweska Partia Pracy. To wszystko lewica. Czy miało to znaczenie?**

– Bardzo duże. To, że oni byli lewicowcami, nie pomagało im w rozmowach, ale pravicowcy w ogóle nie rozpoczęliby negocjacji, bo po jednej i drugiej stronie bycie pravicowcem polega na tym, że z tamtymi się nie negocjuje. To, że Rabin, Peres i Arafat byli – na bardzo różne sposoby – lewicowcami, oznaczało, że uznawali, iż istnieje hipotetyczna możliwość rozmów przy jednym stole albo chociaż przebywania w dwóch sąsiednich pokojach. Menachem Begin z Likudu by nie mógł, podobnie szejik Jassin, duchowy przywódca Hamasu.

**Icchak Szamir z Likudu, który stracił władzę w wyborach w 1992 r., też by nie mógł.**

– Szamir mówił, że trzeba prowadzić rozmowy z Jordanią, Syrią i Palestyńczykami, oczywiście bez OWP, ale przeciągać je w nieskończoność, aż wszyscy się zmę-

czą, a my zasiedlimy wystarczająco dużo Zachodniego Brzegu, by kwestia negocjacji w ogóle przestała istnieć. Tacy ludzie, przystępując do rozmów, musieli by zaprzeczyć sami sobie, a Rabin i Arafat nie musieli tego robić, chociaż wciąż uważali, że ten drugi to wróg i bydlę. Norweska Partia Pracy i Awoda były w Międzynarodówce Socjalistycznej, a norwescy socjaldemokraci mieli dość dobre kontakty z palestyńskim ruchem narodowym. Dla norweskich negocjatorów to nie była więc terra incognita. Kogoś znali, do kogoś mieli zaufanie, z kimś mieli relacje osobiste – bez takich rzeczy w ogóle nie ma mediacji.

**Powiedział pan, że w Izraelu zapanowała euforia. Ale to nie jest cała prawda, bo prawica na porozumienia zareagowała wściekłością.**

– Na początku była tak zaskoczona, że odebrała jej mowę. Jej główny argument, że Palestyńczycy to bandyci i nie można z nimi rozmawiać, został obalony. I pewnie ten stan trwałby trochę dłużej, gdyby nie to, że zamachy zaczęły się prawie natychmiast. Ale układy z Oslo przeszły wyłącznie dzięki głosom partii arabskich. To oznaczało, że Rabin nie ma żydowskiej większości.

**Za porozumieniem głosowało 61 posłów, przeciwko było 50.**

– Doszło do sytuacji podobnej do tej z 1922 r., gdy w Polsce zamordowany został prezydent Gabriel Narutowicz. Jeżeli za podmiot polityczny uważamy naród, to większość demokratyczna nie ma znaczenia. Wybór Narutowicza i przegłosowanie porozumień z Oslo były radykalnym zanegowaniem projektu politycznego prawicy, w którym państwo jest jedynie emanacją narodu.

**Konstanty Gebert**



**Pokój z widokiem na wojnę. Historia Izraela**

Wydawnictwo Agora

W obu sytuacjach obywatelstwo zostało przebite przez etniczność. Że niby demokratyczna większość w parlamencie się opowiedziała i koniec? Na co prawica mówi: mam w nosie taką demokratyczną większość, tę zdradę trzeba naprawić czynem, i do czynu przystępuje. Życiem za to zapłacili i Narutowicz, i Rabin.

**Patrząc z dystansu, można uznać, że mimo porozumień i pokojowego Nobla dla Rabina, Peresa i Arafata nikt tego pokoju nie chciał. Jakby wszyscy uważali, że dla drugiej strony to tylko podstęp, który ma uspić czujność przeciwnika.**

– Oczywiście, że nikt tego nie chciał, bo wroga chce się pokonać, a nie zawierać z nim porozumienia. Póki żył Rabin, rząd izraelski pokazywał, że trzyma się zobowiązań, oczywiście odczytując z nich najlepszy możliwy dla Izraela wariant. Arafat cały czas pokazywał, jaki jest nieszczęśliwy w tej sytuacji. Psychologicznie można go zrozumieć, bo zrobił karierę jako uwielbiana przez tłumy ikona rewolucji. Potrafił wygłosić przemówienie w ONZ z kaburą pistoletu u boku.

**To nie był Václav Havel.**

– Oj nie. Odtąd ta ikona musiała zajmować się mianowaniem kogoś, kto zrobi wywózkę śmieci w Gazie, i negocjować z jakimiś frakcjami w Palestyńskiej Radzie Narodowej. Żeby jeszcze dostał za to Jerozolimę, a nie tylko Gazę i Jerycho... Ten sukces był degradacją i Arafat się z tym nie pogodził.

**Paradoksalnie, gdy proces pokojowy przyspieszył, izraelskie wojsko wycofywało się, a 95 proc. Palestyńczyków przestało żyć pod okupacją, bezpieczeństwo w Izraelu pogorszyło się. Liczba zamachów organizowanych zarówno przez islamistów z Hamasu, jak i nacjonalistów izraelskich wzrosła. Ktoś w Tel Awiwie mógłby zapytać: po co nam pokój, skoro jest bardziej śmiertelny niż wojna?**

– Z jednej strony więcej Izraelczyków ginęło w zamachach, z drugiej, palestyńskiej, była świadomość, że w ciągu pięciu lat od Oslo zbudowano więcej osiedli na terytoriach okupowanych niż w pięćdziesiąt lat przed porozumieniami. Po obu stronach istniała milcząca większość, która może nie była przekonana, że po Oslo tamci z diabła wcielonego nagle stali się ludźmi, a może nawet sąsiadami, ale byłaby zadowolona, gdyby można było planować jakąś przyszłość. Tymczasem Hamas zaczął zabijać. A zabijał, bo musiał.

**Musiał?**

– Gdyby rozpoczęty projekt polityczny się powiódł, Hamas stałby się tylko religijnym bractwem, egzotycznym marginesem, który poniósł polityczną klęskę. Zabijał na izraelskich ulicach, żeby przetrwać. A skoro Izrael nie mógł militarnie powstrzymać Hamasu, kontynuował budowę osiedli. W takiej sytuacji milczące większości po obu stronach uznały racjonalnie, że porozumienia niewiele dały, a wiele zabrały. Miała być ziemia za pokój, a jedni nie mają pokoju, a drudzy nie mają ziemi. To już lepiej było jak przedtem.

**Rabin zapłacił życiem za Oslo – 4 listopada 1995 r. zabił go religijny ekstremista, zaledwie kilka tygodni po podpisaniu następnego porozumienia – Oslo II. Przed zamachem prawica rozpętała kampanię nienawiści. Benjamin Netanjahu głosił, że porozumienia zagrażają istnieniu państwa, a grupa kabalistów odprawiła przed domem Rabina ceremonię, w której pojawiło się przekleństwo skazujące go na śmierć. Izrael w 1995 r. był tak samo zaskoczony jak Polska w 1922 r. Dlaczego?**

– Bo w historii ruchu syjonistycznego było tylko jedno zabójstwo polityczne, Chaima Alrosoroffa. Żydzi nie zabijali swoich przywódców. Gdy nie mogli ich ścierpieć, wynosili się z danej partii i zakładali nową, a potem obrzucali tamtych obelgami. Rabin był dobrze chroniony, ale pomysł, że zamachowcem może być Żyd, nie mieścił się w mentalnym wszechświecie jego ochroniarzy. Owszem, wiedziانو o tej całej propagandzie

nienawiści wobec „zdrajców z Oslo” i o wydanych na nich wyrokach śmierci, ale traktowano to jedynie jako retorykę. Śmierć Rabina zmieniła wszystko, straciliśmy niewinność. W pewnym sensie jednak przywróciła nas do normalnej społeczności narodów, bo narody czasem mordują własnych przywódców. Dopiero wtedy w Izraelu zaczęły się śledztwa w sprawie żydowskich terrorystów, którzy chcieli wysadzać w powietrze arabskie szkoły, bo to też nie mieściło się w głowach – przecież takie rzeczy robią Arabowie, a nie my. Szin Bet miał w tym miejscu ślepią plamkę, w którą wszedł jeden gość z pistoletem i zmienił historię.

**Po stronie palestyńskiej i izraelskiej proces pokojowy torpedowały ugrupowania prawicowe, często podpierające się religią. Może gdyby ten kawałek świata zamieszkiwali ludzie niewierzący, łatwiej byłoby o porozumienie?**

– Hitler był niewierzący i Stalin też. Znacomie się porozumiewali. W 1947 r., a więc jeszcze w czasach mandatowej Palestyny, sekretarz stanu John Foster Dulles na wieść o kolejnej masakrze zapytał retorycznie na konferencji prasowej, dlaczego Żydzi i Arabowie nie mogą się dogadać jak dobrzy chrześcijanie.

**Pewnie dlatego, że dobrzy chrześcijanie też się nie dogadują.**

– Dobrzy chrześcijanie zaledwie dwa lata wcześniej skończyli się dogadywać w Europie. Dzięki Bogu, że Żydzi i Arabowie nie potrafili się dogadać jak dobrzy chrześcijanie. Awoda i OWP były organizacjami świeckimi, ale nie dawało to gwarancji, że się dogadają. Po obu stronach są wyjątki. Był rabin Menachem Froman, jeden z przywódców bloku kibuców Gusz Ecjon, który miał bardzo dobre stosunki z imamami z Hamasu. Jest rabin Arik Ascherman, który od lat przewodniczy ruchowi Rabini na rzecz Praw Człowieka i robi fantastyczne rzeczy, jeśli chodzi o obronę praw Palestyńczyków. O takie osoby łatwiej w społeczeństwie demokratycznym i pewnie dlatego niewielu widzę takich imamów. Są różne powody, dla których ludzie łączą religię i politykę. Mogą je łączyć dlatego, że gdy religię odpowiednio się podkreśli, to na wszystko da alibi. A może być też tak, że łączą je ludzie głęboko wierzący i uważają, że ta wiara nakłada na nich obowiązek zmieniania świata. Z osobami, których wiara jest inna, ale obowiązek ten sam, czują pokrewieństwo. Wielokrotnie to widziałem. Tyle tylko, że niestety na Bliskim Wschodzie religia jest tak politycznie skorumpowana, że takich ludzi jak rabin Froman naprawdę ze świecą szukać. Nacjonalizm jest z samej swojej istoty bezbożny. Chciałbym wierzyć, że jakby wszyscy byli wierzący, to byłoby lepiej. Niestety, nie dołączam się do sprawdzania tej wiary i nie mam też pewności, że gdyby tak się stało, to łatwiej byłoby o pokój.

**W 1996 r. pierwszy raz premierem został Netanjahu, który trzy lata wcześniej krzyczał do Rabina, że jest gorszy od Chamberlaina, który paktował z Hitlerem. Na Oslo III nie było już szans.**

– Większość oceniła proces pokojowy po wynikach, a wyniki dla obu stron były fatalne. Izraelczycy poparli Bibiego, który powiedział, że wie, jak to zrobić, że nie można kapitulować jak Rabin. Uwierzono mu, bo jaka była alternatywa? Albo dalej na ślepo pchamy się w ten pokój i będziemy ginąć w kolejnych zamachach, aż może coś się zmieni, albo mówimy, że pokoju nigdy nie będzie. A Bibi, jak to Bibi, mówił, że są plusy dodatnie, plusy ujemne i jeszcze jakieś inne. Zwróćmy uwagę, że nikt nie powiedział kategorycznie, że rezygnujemy z porozumienia. Fikcja tego, że Oslo obowiązuje nadal, była podtrzymywana przez Izraelczyków i Palestyńczyków. Obie strony mówiły, że potrzebne jest inne Oslo, lepsze, bez tego czy bez tamtego szczegółu. Ale nikt nie miał odwagi powiedzieć swoim społeczeństwom, że skoro nie chcemy realizować Oslo, to realizujemy wojny. Bo trzeciej drogi nie ma. ●

**Rozmawiał Igor Rakowski-Kłós**

Wczoraj, czyli dziś

## Gdy wieje wiatr od morza

Pierwsza polska szkoła morską zaczęła bez siedziby i podręczników, ale odniosła sukces.

Maciejewska



Szkoła Morska w Tczewie: 54 godziny zajęć tygodniowo, opłata za internat równa robotniczej pensji, marne perspektywy pracy dla absolwentów. To nie kpina, to wielkie marzenia o flocie pod białą-czerwoną banderą.

Wprawdzie w kategorii szczer łądowy osiągam mistrzostwo świata i chorobę morską dostaję już na molo, lecz o urodzinach szkoły w Tczewie – 17 czerwca – zawsze pamiętam. I to nie tylko dzięki kpt. Karolowi Olgierdowi Borchardtowi, który sportretował jej wykładowców i absolwentów w swoich książkach. Ten projekt po prostu nie miał prawa się udać, a poza tym był nieprzyzwoicie romantyczny. „Oto dowód tężyzny, żywotności i dzielności ducha polskiego” – pisał autor wydanej w 1929 r. książki o szkole i choć to brzmi jak prawicowa propaganda, tczewska uczelnia bez tej dzielności by nie przetrwała.

Gdy się rodziła w 1920 r., granice były wciąż nieustalone, trwała wojna z bolszewikami, a polska marynarka handlowa była fantasmagorią szaleńców. Owszem, Polska na mocy traktatu wersalskiego z 28 czerwca 1919 r. otrzymała dostęp do morza, a kilka miesięcy później gen. Józef Haller wrzucił do Bałtyku pierścieni, oznajmiając, że „teraz wolne przed nami świąty i wolne kraje”, ale ani portów, ani statków nie było.

Została za to powołana Szkoła Morska w Tczewie i III kandydatów na uczniów zjechało do Warszawy na egzaminy. Szkoła była na papierze, bo budynek w Tczewie wymagał remontu. Nie było też polskich podręczników, a wielu kandydatów na wilków morskich nie widziało jeszcze morza. Ale była determinacja i kupiony za 247 tys. dol. wysłużony żaglowiec „Nest”, który jako „Lwów” stał się kolebką polskich nawigatorów, mając za komendantów m.in. Mamerta Stankiewicza i Konstantego Maciejewicza.

Kandydaci zdawali matematykę, geografii, język obcy i rysunek. Połowa została przyjęta, lecz zamiast do szkoły poszli na wojnę z bolszewikami, a na lekcjach pojawili się dopiero w październiku 1920 r. Inżynier Antoni Gar-

nuszewski, dyrektor szkoły, przyjął jeszcze 29 ochotników wracających z frontu, dlatego pierwszy rocznik miał 82 uczniów.

W ławkach siedzieli obrońcy Lwowa, powstańcy łąscy i wielkopolscy, ulani, artylerzyści i marynarze I Batalionu Morskiego, oficerowie i szeregowcy. Przyjechali do Tczewa z trzech zaborów i ze świata. Podobnie jak ich wykładowcy, więc na akademiach można było usłyszeć zaskakujące mowy patriotyczne. Do historii przeszła fraza: „Otczizna nasza została podzielona na trzy części; jedną wzięli Niemcy, drugą Niemcy, a trzecią – my!”.

„My”, czyli Polacy z rosyjskiej marynarki handlowej i wojennej, najliczniej reprezentowani. Dyrektor Garnuszewski skończył jako prymus Wydział Nawigacyjny Szkoły Morskiej w Odessie, potem Instytut Politechniczny w Petersburgu, pływał w rosyjskiej marynarce handlowej i w marynarce wojennej, m.in. na pancerniku „Sława”.

Z kolei Florian Hłasko, pierwszy lekarz Szkoły Morskiej, generał armii carskiej, uczestniczył w wojnie rosyjsko-japońskiej i przeżył oblężenie Port Artur, opatrywał pod ogniem rannych w czasie rewolucji lutowej w Kronsztadzie i brał udział w akcji ratowniczej po trzęsieniu ziemi w Mesynie, które pochłonęło 75 tys. ofiar.

Za to hrabia Antoni Maria Józef Maksymilian Halka-Ledóchowski, czyli „Tosio”, trafił do austriackiej marynarki wojennej i przez ostatni rok wojny służył jako porucznik na pancerniku „Prinz Eugen” dowodzonym przez Mikłósa Horthyego, przyszłego regenta Węgier. Miał 25 lat, gdy znalazł się Tczewie i zaczął pracę od stworzenia polskiego słownictwa nautycznego, a potem napisania kilku podręczników. Zrobił sam to, co dziś robią wielkie zespoły ekspertów. Jego „Astronawigacja” miała siedem wydań, ostatnie w 1972 r.

Mimo tych problemów (a może też dzięki nim) szkoła była romantyczna, a „Lwów” jako pierwszy statek pod białą-czerwoną banderą popłynął na Atlantyk, 13 sierpnia 1923 r. przekroczył równik i dotarł do Brazylii. Wprawdzie na polskie wyroby eksportowe, które wiozł, – plugi, kosmetyki, spirytualia – wielu chętnych nie było, ale bandera robiła pionunujące wrażenie, szczególnie wśród Polonii.

W 1930 r. szkołę przeniesiono do Gdyni, a „Lwów” zastąpił „Darem Pomorza”, jednak legenda pionierów z Tczewa wciąż jest żywa. ●

**Beata Maciejewska** – historyczka, dziennikarka i publicystka „Gazety Wyborczej”

## Polecamy książkę

## SPACER LABIRYNTEM

„Zwolennicy Piłsudskiego biegną jak barany nie za programem, lecz za osobą. On tylokrotnie występował jako wychowawca narodu; teraz nie postąpił jak wychowawca: zdeptał przedstawicielstwo narodu” – napisał Stanisław Ossowski po zamachu majowym.

Przemysław Wiszewski

# W

Ważąc w rękach ostatni, trzeci tom jego „Dzienników”, który niedawno ukazał się w opracowaniu Róży Sulek, można odczuć siłę podstawowego ludzkiego pragnienia, by przetrwać. Umknąć przed niepamięcią i zachować poczucie wspólnoty, bycia razem z tymi, którzy nas współtworzyli, i z tym, co nas kształtowało. Ale motorem popychającym autora do sporządzania notatek było jednocześnie poczucie osobistego i osobnego zanurzenia w świecie człowieka i natury.

Zapiski w swych dziennikach sporządzał Ossowski najczęściej na bieżąco, rzadziej z pewnego oddalenia, zawsze sam formułował ich treść. Zebrał je razem w większości przez żonę prof. Marię Ossowską obejmującą ponad pół wieku kluczowe dla historii naszej części Europy – i niemal całe życie jednego intelektualisty i jego otoczenia.

Czytanie dziennika jest zawsze zajęciem tyleż emocjonującym, ile wyczerpującym. Jest to przecież spotkanie twarzą w twarz z „innym”, z autorem opowiadającym o swoim świecie. W przypadku dzienników Ossowskiego pomocą w przygotowaniu się do tego spotkania służy nam zamieszczone w pierwszym tomie „Wprowadzenie” pióra wybitnej socjolożki Antoniny Kloskowskiej. Wyrazistą, oszczędną kreską stworzyła ona intelektualną sylwetkę autora „Dzienników”. Jednak to tylko wstęp, bo lektura dzieła to jednocześnie uwikłanie się w maski i zasłony, które autor konstruował, tworząc świat przedstawiany na jego kartach.

Dawno przestaliśmy uważać dzienniki za obiektywne zapisy autorskich doświadczeń, który pozwalałby odtworzyć nam minione wydarzenia. Subiektywny świat autora zawarty w dzienniku nie jest prostym opisem

jego osobowości. Czytając zapiski, musimy rozstrzygać za każdym razem, czy jesteśmy w stanie odczytać emocje z czasów oznaczonych datą, czy też mierzymy się z kolejną gombrowiczowską gębą, którą stworzył dla nas autor. Te szarady i gry stają się bardziej skomplikowane, gdy dziennik jest obszerny, wielowątkowy i powstający przez dekady. Niemalą pomocą w naszym przypadku służy opracowanie krytyczne.

Autorka opracowania udostępniła nam przypisy identyfikujące osoby i miejsca, krótkie wstępy przedstawiające brakujące elementy z życiorysu Ossowskiego i wydarzenia, które miały na niego wpływ.

Aby uchwycić złożoność opowieści „Dziennika”, warto przeczytać go w całości. Rozpocząć od pierwszych, młodzińskich zapisków z 1905 r., a skończyć na ostatnich, dokonywanych tuż przed odejściem autora w 1963 r. Czeka nas wtedy kilkaset stron lektury, ale... nie każdą musimy czytać równie uważnie. Właśnie dlatego, że jest to tekst wielowarstwowy, nie każdy czytelnik musi każdą z nich badać, jak geolog analizować, jak archeolog wyciągać z nich zaginione artefakty.

Szukając drogowskazów, które mogłyby mnie przeprowadzić przez ten labirynt, sam wybrałem trzy ścieżki: ślady fascynacji naukowych i pomysłów badawczych autora; jego refleksji nad ponadczasowymi, istotnymi także dla nas dziś zjawiskami społecznymi; wreszcie odbicia jego emocji, ale też realiów, w których żył. Dla historyków nauki, dla socjologów pieczołowicie odtwarzających intelektualną biografię mistrza ta pierwsza warstwa może być najistotniejsza. Ale dla ciekawego świata czytelnika – już niekoniecznie. Podobnie jest z pozostałymi drogami, a pewnie każdy, obcując z „Dziennikami”, może stworzyć do nich swój własny klucz.

Na każdej z tych ścieżek autor miał nam do powiedzenia coś, co pomaga zrozumieć nie tylko jego samego i jego czasy, lecz także nas samych. Być może dlatego, że sam zmieniał swoje podejście do prowadzonych zapisków. Czasami traktował je jako swój dziennik intymny, który dawał mu szansę zapamiętania zdarzeń współtworzących jego samego. Jednak niejednokrotnie traktował notki jako narzędzie autorefleksji i autokreacji, skarbiec myśli i koncepcji do wykorzystania w przyszłych badaniach.

Czytając wpisy z kolejnych lat, konfrontujemy się też ze zmianą,



• W górnym rządzie w środku Stanisław Ossowski (1897–1963) podczas ćwiczeń wojskowych pod koniec lat 30. XX w.

FOT. ARCHIWUM PRZY KSIĘGOZBIORZE OSSOWSKICH W BIBLIOTECE ISNS UW

która dotyczy nas lub będzie dotyczyła w przyszłości. Pełne emocji, szczerze i bardzo osobiste opowieści autora zmieniają swój charakter wraz z jego wiekiem. Najwyraźniej zmianę tę widać w notkach powstałych po zakończeniu kampanii wrześniowej 1939 r. Stają się one wówczas częściej narracjami próbującymi uchwycić fakty z pomocą zwiezłych znaków, o które później może oprzeć się pamięć. Proces ten zaczął się jednak dużo wcześniej i może przełomowym elementem dla autora były wydarzenia z maja 1926 r.

„Więc zwycięstwo! Niech żyje Piłsudski! Radość rozpięta jak w listopadzie 1918 roku. (...) Buntuje się mój republikanizm. Rozumiem Brutusa. Zwolennicy Piłsudskiego biegną jak barany nie za programem, lecz za osobą. On tylokrotnie występował jako wychowawca narodu; teraz nie postąpił jak wychowawca: zdeptał przedstawicielstwo narodu, wprowadził społeczeństwo w błąd, a później potraktował jak niewolników, zamiast programu rzucając swą wolę. Upokorzył Zgromadzenie [Narodowe] – i nie tylko Zgromadzenie” (Dzienniki, t. 1, 20 maja, 1 czerwca 1926).

W niezwykle plastycznej relacji z przebiegu zamachu majowego 1926 r. autor oddaje emocje zwolenników ukrócenia „sejmokracji” – nadzieje i zawód, jaki spowodował Piłsudski odmową przyjęcia godności prezydenta Rzeczypospolitej. Na kilku stronach śledzimy z zapartym tchem przebieg walk oczami bezsilnego – i cierpiącego w tej bezsilności – mieszkańca Warszawy. Zapis obejmuje nie tylko jego emocje, ale też reakcje jego bliskich. Skrzy się entuzjazmem i przytłacza następującym później rozczarowaniem. W tej relacji odnajdziemy sylwetkę autora z czasów jego aktywnego uczestnictwa w wojnie 1918–20: nadal przekonanego do ideałów, które popchnęły go do udziału w walkach na pierwszej linii frontu wschodniego.

To już jednak ostatni moment, kiedy widzimy w nim te młodzińcze emocje. Później zastępuje je ton, który pojawił się po raz pierwszy w zapiskach dokumentujących pobyt na stypendium naukowym we Francji w latach 1921–22. Ciekawość otaczającego świata, odmiennych zwyczajów, świata natury, zachowań ludzkich, dzieł kultury, mód intelektualnych – wszystko to wiruje wokół nas, pokazując bogactwo doświadczeń, które chłonął młody umysł. Po powrocie do kraju intelektualna otwartość stale towarzyszyła Ossowskiemu. Ta wręcz zachłanna chęć poznania i pozostawienia śladu tego poznania w swej pamięci pozostała cechą charakterystyczną wszystkich późniejszych lat. Kolejne podróże zagraniczne dostarczają obfitych opisów sposobu, w jaki chłonął nowe dla niego światy.

„Massachusetts Institute of Technology (...). Klub Instytutu, gdzie jadłem wieczorny obiad (...). W hallu realistyczne wielkie kompozycje ścienne z czasów depresji po roku 1930, powstałe w ramach rooseveltovskiej akcji pomocy sztuce. Przypominają ówczesny styl sowieckiej sztuki. Do Harvardzkiego Faculty Club kobiety nie mają wstępu (oburzaliśmy się na Mądralin!), tak samo jak do Lamont Library. Przed kilku laty nawet w Widener Library był tylko jeden specjalny pokój dla kobiet. Motywacja między innymi, że kobiety w bibliotece przeszkadzają w pracy studentom (sama ich obecność), a w klubie obniżałyby poziom rozmów” (Dzienniki, t. 3, 31 maja 1958).

I tu widzimy jednak zmianę. Dokumentując swoje przedwojenne wojaże, sporo miejsca Ossowski poświęcał życiu intelektualnemu; podróżując po Stanach Zjednoczonych po 1956 r., skupiał się na życiu ludzi. Intrygowały go relacje społeczne między białymi i Afroamerykanami, próbował je porównywać do znanych sobie kontekstów współpracy różnych grup społecznych. Śledził obyczaje, nastroje i kulturowe konteksty

## PAMIĘCI



życia akademików amerykańskich, ale pod kątem ich życia codziennego, mniej uwagi poświęcając życiu naukowemu. Wreszcie, chłonął przyrodę. Ta pozostaje stale, przez wszystkie lata spisywania dziennika, jednym z głównych bohaterów narracji.

● ● ●  
Czytając dziennik, konfrontujemy się z wieloma obrazami świata. Jeśli zechcemy, odkrywamy w nich ukryte lustra umieszczające nas samych w krajobrazach, które tylko pozornie są przestrzeniami z przeszłości. Dlatego lektura trzeciego tomu „Dzienników” była dla mnie, osoby związanej ze światem akademickim, przeżyciem tyleż emocjonującym, ile bolesnym. Fragmenty poświęcone czasom stalinowskim to oszczędnie opisywane techniki przystosowawcze polskiego środowiska naukowego.

„W publicystyce i przemówieniach przyjmuje się termin »prawidłowy« w sensie »prawdziwy«. Można to traktować jako rusycyzm, ale można szukać interpretacji w przekształceniach stosunku do prawdy: prawdziwe stało się to, co prawidłowe” (Dzienniki, t. 3, kwiecień 1952).

Krótki czas odwilży po październiku 1956 r. wypełnia radość i optymizm – można prowadzić prawdziwe badania, można stawiać pytania i szukać odpowiedzi, badać przestrzenie dotąd okrywane cenzorskim zapisem. Jednak za chwilę przychodzi czas stabilizacji władzy, a z nią kolejna fala przystosowywania się środowiska do wymogów stawianych przez rządzących. Pozostają wyjazdy zagraniczne, gdzie można zaczerpnąć świeżego powietrza. I projektowanie prac, które niekoniecznie ukażą się drukiem, na które brakuje i sił i środków. Wykrusza się grono zainteresowanych fermentem intelektualnym, pozostaje grupka najwierniejszych przyjaciół. Jako historyk ten obraz zmian poznawałem wiele razy, w wielu wymiarach. Ale spotkanie z refleksją

świadka historii pogłębia refleksję; niestety, Polacy nie zmienili się tak bardzo w ciągu kilkudziesięciu minionych lat. „O sukcesach na krótką metę. Ścinanie jabłoni, aby ułatwić sobie zrywanie jabłek. Wycinanie lasów dla utrzymania kursu złotego. Przekształcanie czaszek ludzkich w posłuszne rezonatory, aby nie było kłopotów” (Dzienniki, t. 3, 19 lipca 1956).

Być może to jednak wniosek przedwczesny i doszukiwanie się dzisiejszych odniesień w tekście wybitnego uczonego jest nieuprawnione? Sam Ossowski przeżywał chwile wątpliwości w kreatywność i mądrość rodaków. Szczególnie po klęsce września 1939 r., gdy po krótkim pobycie w Warszawie musiał uciekać na wschód i trafił do Lwowa. Otaczająca zewsząd radziecka propaganda, dochodzące spod niemieckiej okupacji niewesołe opowieści o losach przyjaciół skłaniały do smutnych konkluzji. Te jednak nie łamały jego ducha, którego ożywiała zgola młodzieńcza nadzieja, wydawać by się mogło dawno już zapomniana.

„Chciałbym pokazać, że potrafimy coś stworzyć, że są w Polsce siły twórcze, trzeba je tylko znaleźć. Gdzie? Nie umiem ich wskazać. Chłopi? (...) Nie mogę nie uważać ich za pozycję bardzo niepewną. Ostatecznie ta Polska, z którą jestem naprawdę związany, to szczupłe grono przyjaciół. Czy można w obecnych warunkach marzyć o zbudowaniu Polski Szklanych Domów? Niepodobna nie zdawać sobie sprawy z sił reakcyjnych, które dojdą do głosu, gdy tylko będzie po temu sposobność. W gruncie rzeczy po cichu liczę jeszcze na jakąś rewolucyjną przemianę duchową w społeczeństwie polskim, podobnie jak liczyłem na nią w roku 1920. Ale to jest właśnie ten romantyzm” (Dzienniki, t. 2, 14 stycznia 1940).

● ● ●  
Zapiski dotyczące pobytu we Lwowie, od schyłku 1939 r. do czerwca 1941 r., budzą pewne zdziwienie treścią i skłaniają do postawienia pytania o stopień szczerości autora. Miał on licznych znajomych wśród tamtejszych Polaków i migrantów spod okupacji niemieckiej, którzy we Lwowie starali się przetrwać nazistowskie zagrożenie. Miał wiedzę o ich przygotowywanych przesiedleniach na wschód, ale nie wspomina nic o wielkich wywózkach Polaków. Milczy o aresztowaniach polskich intelektualistów, choć wielokrotnie się z nimi kontaktował. Współpracował blisko z Jerzym Borejszą, dyrektorem Ossolineum znającym dobrze sytuację w Związku Radzieckim, aktywnie współpracującym z władzami radzieckimi i jednocześnie zabiegającym o przetrwanie polskiej kultury i jej twórców. Znał głód i nierówności społeczne panujące w Związku Radzieckim, co nieraz podkreślał w dziennikach. Jak więc w tym kontekście odczytywać jego ocenę radzieckiego systemu karnego? Czy rzeczywiście uważał, że był on ukierunkowany na poszanowanie człowieka, czy też z rozmysłem puszczal oko do potencjalnego, przyszłego czytelnika jego zapisków?

„W Sowietach nie ma kary więzienia. Zamiast więzienia są tylko przymusowe roboty w oddalonych rejonach. Za dobre zachowanie



się podczas tych robót uzyskuje się często znaczne skrócenie kariery. Amnestie także nie należą do rzadkości. Zdaje się, że bardziej niż w jakimkolwiek innym kraju system karny ma na względzie przekształcenie skazańca w pożytecznego członka społeczeństwa. Na tym polu Sowiety humanitaryzmem swoim wyprzedzają Europę” (Dzienniki, t. 2, 29 marca 1940).

Nie widać w tekście przesłanek, które skłaniałyby do doszukiwania się w „Dziennikach” jakiejś makiawelicznej zdolności Ossowskiego do mylenia tropów potencjalnego czytelnika. Wydaje się, że pod wpływem informacji o mniejszych występach i większych przestępstwach Polaków wobec Ukraińców i wobec więźniów politycznych w Berezie chciał wierzyć, że jest możliwy lepszy świat, skoro Polski nie ma i nie wiadomo, czy się odrodzi. A gdy w 1945 r. jasne się stało, w jak trudnej sytuacji Polska wraca na mapę polityczną Europy, nie miał autor wątpliwości, że „wyzwolenie” jest słowem mocno nieadekwatnym (Dzienniki, t. 2, 9 lutego 1945). W tej sytuacji uderza jego wiara w wartość dóbr kultury, w samą kulturę.

„Archiwa, rękopisy. Wśród nich »rzeczy bezcenne«, których utrzymanie i porządkowanie pochłania wiele pracy, a do których nikt może nie zajrzy. Rzeczy, których wartość polega na tym, że się wie, że istnieją” (Dzienniki, t. 2, 9 stycznia 1940).

● ● ●  
Gdy skończyła się II wojna światowa i zaangażowała się w odbudowę kraju, nie był już tym idealistą, który w latach 20. wierzył w przyszłość Polski. Trzeźwo odpowiadał zapraszającym go do współpracy przedstawicielom lewicy:

„Jako jedno z doniosłych dla mnie zagadnień wysuwam sprawę obrony kultury przed presją państwa. »Ależ państwem my będziemy obecnie kierowali« – powiada na to jeden z zebranych. – Właśnie dlatego to zagadnienie nabiera wagi; w państwie wrogim stosunek do tej sprawy jest jasny: podejmuje się walkę z państwem. Gdy się obejmuje rządy, trzeba się jakoś z tym zagadnieniem uporać” (Dzienniki, t. 2, 9 lutego 1945).

Nawet wówczas, gdy w 1949 r. władze zlikwidowały oficjalnie socjologię jako dyscyplinę wiedzy w strukturze szkolnictwa wyższego, nie zrezygnował z badań. Szukał innych form aktywności naukowej, planował przygotowywanie szerszych studiów.

### • Stanisław Ossowski na zdjęciu powojennym

FOT. ARCHIWUM PRZY KSIĘGOZBIORZE OSSOWSKICH W BIBLIOTECE ISNS UW



Stanisław Ossowski

Oprac.  
Róża Sułek  
**Dzienniki**  
(t. 1, 1905-1939; t. 2, 1939-1949; t. 3, 1949-1963)

Wydawnictwo Scholar

Z entuzjazmem reagował na zmiany zachodzące w Polsce w październiku 1956 r., szeroko widział możliwości nowych badań. W odpowiedzi na konserwatywne zmiany zachodzące w okresie gomułkowskiej stabilizacji uciekał w planach badawczych, podróżach studyjnych i konferencyjnych, w trakcie których z pasją śledził przemiany kulturowe i odkrywał nowe krajobrazy. Ale jednocześnie coraz mniej miał cierpliwości dla wszechogarniającego konformizmu i kunktatorstwa.

Po likwidacji Klubu Krzywego Koła i wobec coraz silniejszego oddziaływania cenzury – tej instytucjonalnej i tej stosowanej przewencyjnie przez redakcje czasopism i wydawców książek – szukał własnej drogi dającej szansę bezkompromisowego mówienia prawdy.

„A jeżeli Krzywe Koło zlikwidowano, trzeba myśleć o jakichś formach zastąpienia jego działalności, chociażby w części. Zastanawiałem się także nad możliwością prywatnego »wydawnictwa« na powielaczach lub w maszynopisach. Trzeba było to postawić taktownie, ale mocno. Czynniki ciemnogrodzkie muszą napotkać opór” (Dzienniki, t. 3, 9 lutego 1962).

Jakże uderzające jest, że w momencie, gdy ostatnie szanse na zachowanie bodaj ograniczonej wolności wypowiedzi były przekreślane, Stanisław Ossowski starał się mówić dobitnie, lecz kulturalnie, w szacunkiem dla rozmówców. Człowiek, który przeżył trzy wojny i trzy okupacje, którego dom w powstaniu warszawskim spłonął wraz z niemal całym dorobkiem naukowym własnym i żony, który doświadczył brutalnych prześladowań ze strony stalinowskiego systemu, chciał rozmawiać taktownie z przeciwnikami ideowymi.

● ● ●  
Ostatnim elementem, bodaj najważniejszym dla zrozumienia postawy Stanisława Ossowskiego wobec życia, było jego uczucie do żony Marii, w dziennikach: Marylki lub Maryli. Myśli o niej wypełniały mu trudny kampanii wrześniowej, troska o nią – pobyt we Lwowie, gdy żona przebywała w Warszawie. Kiedy ciężko zachorował, kilka miesięcy przed śmiercią, zajmowały go kwestie przyszłości jego katedry, polityki światowej, normandzkich krajobrazów, własnego zdrowia i dobrostan żony.

„Marylka się troszczy o wszystko, a ja jej w niczym nie pomagam, co także nie sprzyja nastrojom euforycznym. Do czasu mojej choroby Marylka była w świetnej formie i pracowała z niezwykłą aktywnością. Pracuje i teraz, ale warunki ma ciężkie i jest coraz bardziej zmęczona” (Dzienniki, t. 3, 20 czerwca 1963).

Każdy sam musi odnaleźć swoją ścieżkę w labiryncie, jaki tworzą intymne wspomnienia wielkiego intelektualisty, miłośnika natury i kultury, Kochającego męża i troskliwego mistrza Stanisława Ossowskiego. Nie znajdziemy tu efektownych i szybko gasnących fajerwerków. Musimy znaleźć czas na lekturę i sposób na współodczucie minionego świata opisywanego przez autora i wyjaśnianego przez wydawczynię jego dzieła. W zamian możemy mieć nadzieję na lepsze zrozumienie siebie samych, swoich uwikłań w historii – małe i duże – oraz swoich wyborów w czasach dużo prostszych niż te, z którymi mierzył się autor „Dzienników”. Ze mną pozostaną jego jasna i pewna słuszności wytrwałość w realizowaniu etosu akademika i intelektualisty oraz ściśle związana z tym miłość do żony.

Trzeba żyć taktownie, ale stanowczo. Nigdy inaczej. ●

Zapomniany władca Północy

## KRÓL ERYK Z DARŁOWA

W maju 1449 r. przybywa do Darłowa (niem. Rügenwalde) w armadzie pięciu statków zdeponowany władca największego wówczas mocarstwa – Szwecji, Finlandii, Danii, Norwegii, Wysp Owczych, Islandii i Grenlandii – król Eryk Pomorski. Zaszywa się w miasteczku i zostaje zapomniany na wieki.

Cezary Łazarewicz

A szkoda, bo w pierwszej połowie XV w. był w czołówce monarchów i próbował rozdawać karty w europejskiej polityce. Został pierwszym władcą unii kalmarskiej – zjednoczonych przez jego cioteczną babkę Małgorzatę I królestw Danii, Szwecji i Norwegii. Był też pierwszym przywódcą europejskim, który rzucił hasło dominium Maris Baltici, czyli zjednoczenia pod jednym berłem państw wokół Morza Bałtyckiego, co obecnie realizuje się w ramach NATO i Unii Europejskiej.

I nie piszę o tym, bo akurat urodziłem się 300 metrów od zamku, w którym Eryk Pomorski przyszedł na świat w 1382 r., ale po to, by przypomnieć tego nietuzinkowego władcę, który stał się patronem, mam nadzieję, ważnej europejskiej nagrody, która co roku będzie wręczana w moim rodzinnym miasteczku.

To, że w piaskowym sarkofagu za ołtarzem głównym w naszym kościele spoczywają szczątki jakiegoś średniowiecznego króla, wiedziało w Darłowie każde dziecko. Można było nawet po mszy podejść do grobowca i dotknąć wykutego w kamieniu gryfa z koroną i napisu: „Ericus dei gratia regno Daniae Norwegiae Svecane Slavorum Gothorum que rex et dux Pomeraniae obi Ruginwaldi Anno Domini MCCCLIX”. Tylko że nikt z nas nie wiedział, co to znaczy, a w żadnym szkolnym podręczniku nie było słowa o pochodzącym z Darłowa królu Ericusie. Paradoks polegał na tym, że miasto, które rozkwitło w XV w. dzięki przywiezionym przez niego królewskim bogactwom, wymazało skutecznie pamięć o królu ze swojej historii. Po wojnie nawet jedyną ulicę w mieście, która nosiła imię Eryka, przemianowano na Wieniawskiego.

Eryk był księciem ze słowiańskiej dynastii pomorskiego rodu Gryfitów, która od XII w. panowała na Pomorzu Zachodnim przez pięć kolejnych wieków. Niewielkie księstwo Gryfitów położone było w granicach Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, a na książęcym dworze mówiło się po niemiecku. Wcisnięte pomiędzy potężnych sąsiadów – Niemców, Duńczyków, Szwedów, Polaków i zakon krzyżacki – próbowało ocalić swoją niezależność poprzez zręczną prowadzoną politykę dyplomatyczną. W tej ruletce błękitnej krwi Eryk Pomorski trafił najwyższą wygraną.

Po śmierci syna potężna królowa Danii Małgorzata I wysłała do Darłowa swoich emisariuszy do księcia słupskiego Warcisława VII z propozycją adoptowania dwójki jego dzieci. Oboje trafili w dzieciń-



• Eryk Pomorski na XV-wiecznym portrecie nieznanego malarza oraz wizerunek stworzony przez sztuczną inteligencję FOT. DOMENA PUBLICZNA/KRZYSZTOF KOŁDRAS



## Nagroda Króla Eryka

• Jej pierwszym laureatem zostanie były premier Jerzy Buzek. W najbliższy poniedziałek na darłowskim Zamku Książąt Pomorskich otrzyma złoty medal z wizerunkiem króla. Nagrodę przyznaje powołana przez

burmistrza miasta kapituła, w skład której wchodzi: Olgierd Geblewicz, marszałek województwa zachodniopomorskiego (przewodniczący), Adam Michnik, redaktor naczelny „Gazety Wyborczej”, Herman Lindqvist, szwedzki

dziennikarz i historyk, Masza Potocka, krytyczka i teoretyczka sztuki, ksiądz prof. Alfred Wierzbicki, teolog i etyk, Magdalena Czyż, politolożka i publicystka, i pochodzący z Darłowa reporter Cezary Łazarewicz.

stwie na duński dwór. Katarzyna, córka Wracisława, została matką późniejszego króla Danii, Szwecji i Norwegii Krzysztofa Bawarskiego, ale wcześniej Małgorzata I usłała drogę do tronu jej bratu Erykowi.

Już jako 15-latek został on w Kalmarze koronowany na króla Danii, Szwecji i Norwegii i przez następne 16 lat rządził ze swoją cioteczną babką Skandynawią, a po jej śmierci w 1412 r. już samodzielnie przez następnych 27.

I te właśnie lata przedstawiane były zwykle przez Skandynawów jako kompletna katastrofa. Eryk w odróżnieniu od swojej ciotecznej babki miał być uparty, lekkomyślny, porywczy, klótlivy, skłonny do nieprzemyślanych decyzji. Ale gdy czyta się o prowadzonej przez niego z dużą sprawnością i rozmachem europejskiej polityce, to można nabrać wątpliwości, czy ten wizerunek jest spójny. Eryk utrzymywał kontakty z najważniejszymi europejskimi monarchami – paktował z królem Polski Władysławem Jagiełłą i wielkimi mistrzami zakonu krzyżackiego. Jego kuzynem był niemiecki cesarz Zygmunt Luksemburski, teściem król Anglii Henryk IV, a szwagrem jego następcą Henryk V.

Papież Pius II pisał, że ma piękne ciało, rumiane lico i że każda kobieta pałała ku niemu miłosną żądzą. Jan Długosz opisywał natomiast sympatię, z jaką traktował go król Jagiello (salę, w której spał na

Wawelu podczas koronacji królowej Zofii, nazywano komnatą duńskiego króla).

Eryk Pomorski przeniósł stolicę Danii z Roskilde do Kopenhagi, zakładał miasta, budował zamki i napelniał złotem królewski skarbiec. To dzięki wybudowanej w cieśninie Sund twierdzy Helsingør (w tym zamku Szekspir umieścił akcję dramatu o Hamlecie) Dania przejęła kontrolę nad żeglugą między Bałtykiem a Morzem Północnym. To on wprowadził tam cła, które musiał płacić każdy armator płynący z i do Bałtyku.

W ten sposób unia kalmarska chciała się przeciwstawić rosnącej potęgze gospodarczej Hanzy, największej średniowiecznej organizacji handlowej. Doprowadziło to w końcu do wieloletniej, wyniszczającej i bardzo kosztownej wojny. Starzejący się i bezdzietny król próbował jeszcze zapewnić przekazanie skandynawskich koron swojemu kuzynowi z Pomorza, księciu Bogusławowi IX, ale już było za późno. Rosnące niezadowolenie doprowadziło do wybuchu powstania w Szwecji, a w Danii opozycja oskarżała króla o nadużycia władzy.

W 1439 r. Eryk Pomorski został pozbawiony tronu, zastąpił go syn jego siostry Krzysztof.

Cały swój majątek Eryk zapakował na statki i odpłynął na Gotlandię. Nigdy nie pogodził się z utratą władzy i przez kolejne 10 lat nękał grabieżami statki Hanzy, Szwecji

i Danii. Dopiero po śmierci Bogusława IX powrócił na Pomorze jako jego spadkobierca. Przywiózł ze sobą legendarne skarby – złotą figurę Chrystusa wielkości młodzieńca, złotą gołębicę oraz duńskie insygnia władzy. Z ogromnego majątku sfinansował rozbudowę darłowskiego zamku na wzór twierdzy Helsingør i spędził w nim ostatnie 10 lat życia. Umarł w wieku 78 lat, do końca walcząc o odzyskanie korony. Trumna z prochami Eryka została umieszczona w podziemiach darłowskiego kościoła i zapomniana. Na jego szczątki trafili darłowianie po prawie trzech wiekach, gdy sklepienie krypty się zapadło. W grobowcu został odnaleziony legendarny złoty gołąb, którego mieszczanie odesłali cesarzowi Wilhelmowi.

Od tej chwili król Eryk, obok kielbasy Rügenwalder Teewurst, stał się hitem promocyjnym miasteczka. Niemcy uznali go za najważniejszego obywatela Darłowa i postawili mu pomnik przy plaży u wejścia do portu. Po wejściu Armii Czerwonej w 1945 r. został jednak zniszczony. W drugiej połowie lat 40. do polskiego już Darłowa przyjechał Leopold Tyrmand, który opowieść o Eryku i jego skarbie potraktował jako tło powieści miłosno-przygodowej „Siedem dalekich rejsów”. Książkę zatrzymała jednak na długie lata cenzura. Przez wiele lat opowieść o królu Eryku zostaje sprowadzona do anegdotki o ostatnim piracie na Bałtyku, który po odebraniu korony mści się na swoich prześladowcach.

Odkłamywaniem czarnej legendy Eryka Pomorskiego od lat zajmuje się miejscowy badacz dziejów Leszek Walkiewicz, autor pierwszej polskiej biografii króla. Eryka uważa za jednego z najważniejszych średniowiecznych władców tej części Europy. W podobnym tonie wypowiada się o królu Herman Lindqvist, autor najnowszej szwedzkiej biografii Eryka. Jego zdaniem nie było w Skandynawii w średniowieczu drugiego władcy, który by tak bardzo rozwinął ten region.

Dlaczego więc został zapomniany i skąd tak surowa ocena skandynawskich historyków?

Zdaniem Lindqvista głównym powodem czarnej legendy jest jego cudzoziemskie pochodzenie i to, że historię tego władcy pisali jego przeciwnicy.

Ta negatywna kampania prowadzona od lat nie zniechęca władz Darłowa, które próbują promować się na królu Eryku.

– Książę z zachodniopomorskiej dynastii Gryfitów, który pod swoim berłem zjednoczył dużą część północnej części kontynentu, to świetny patron dla jednoczącej się Europy. Nie musimy więc wymyślać prochu, tylko zadbać, by wybitny król urodzony w Darłowie zajął należne mu miejsce w historii Pomorza, Polski i Europy – uważa Arkadiusz Klimowicz, burmistrz Darłowa.

Temu właśnie ma służyć wymyślona przez Klimowicza Międzynarodowa Nagroda Króla Eryka Pomorskiego, która będzie wręczana zasłużonym w budowaniu pokoju i współpracy w Europie. ●

## Wkrótce

## Marzenia braci Warner

Historycy z Krasnosielca (90 km od Warszawy) odnaleźli w „Gazecie Rządowej Królestwa Polskiego” z 1847 r. wzmiankę o Sanderze Moskowiczu Wąsалу, którego w liście gończym przedstawiono jako: „wzrostu wysokiego, twarzy okrągłej, oczu siwych, włosów na głowie ciemno-blond”. Czy policja zdołała go schwycić, nie wiadomo. Możemy się jednak domyślać, że nie, bo prawie 80 lat później jego potomkowie założyli jedną z największych wytwórni filmowych na świecie – Warner Bros.

## ALEHISTORIA

Redagują: Mirosław Maciorowski (redaktor naczelny), Igor Rakowski-Kłos  
Zespół: Piotr Nehring, Włodzimierz Kalicki, Beata Maciejewska, Paweł Smoleński, Bartosz T. Wielński, Józef Krzyk  
Fotoedycja: Dominik Gajda; korekta: Ewa Gładysz-Jeż; grafik prowadzący: Maryla Ewicz  
Adres redakcji: ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 66 00;  
e-mail: alehistoria@wyborcza.pl; internet: wyborcza.pl/alehistoria.

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich skracania i redagowania. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.



Sprawdź prenumeratę cyfrową „Gazety Wyborczej”:  
[wyborcza.pl/prenumeratacyfrowa](http://wyborcza.pl/prenumeratacyfrowa)